



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KSIAŻKI GWIAZDKOWE.

I autorowie i wydawcy pospieszyli w tym roku z licznym i pożytecznym szeregiem książeczek dla młodzieży i dzieci, a jest tych nowości tak wiele, że w krótkim sprawozdaniu wybrać musimy tylko to, co najbardziej na czasie, a najwięcej zawiera tej wewnętrznej treści jakiej dla młodziutkich czytelników pragniemy. Książka to przyjaciel, towarzysz, kolega, nieraz tak dobry, kochany, że taka książeczka jest w gromadce dzieci niemal jedną więcej siostrzyczką, taki serdeczny tomik—miłym braciśkiem.

Przyjrzyjmy się temu licznemu gwiazdkowemu rodzeństwu wystrojonemu przez troskliwych wydawców w ładne, kolorowe sukienki. Zaczniemy od książeczek przeznaczonych dla tych najmniejszych, którzy to ledwie, że się czytać nauczyli, a już trzymają z całych sił w ręku czerwoną lub niebieską książkę z obrazkami i powiastkami, a zapytani:—jaka to książka?—odpowiadają bez namysłu—albo:—moja! albo:—ładna! Do takich szczęśliwych książeczek należyć będą niewątpliwie „Listki z drzewa czarodziejskiego“ przez Kazimierza Glińskiego. (Nakład M. Arcta). W szeregu barwnych opowiadań, zabawnych zdarzeń, nieprawdopodobnych na pozór baśni, z krainy cudów, wychyla się do światła otulona w poetyczne szatki—prawda, młodość, dobroć, serce, zakłète istnie skarby, drzemające na dnie dusz dziecinnych, które autor tak umiejętnie budzi, cuci, wywabia, streszczając cel swój w rozsianych tu i tam słowach:

Kochajcie młodość, skarb iście złoty
Który was czarów upaja chwilką,
Kwiaty wspaniałych prawd, dobra, cnoty
W młodości zrywa się tylko.

Póki trwa samo opowiadanie treści, autor przemawia prozą, lecz gdy z czarodziejskiego listka odwinąć trzeba moral, otula go w jedwabną bawełnę ślicznej piosenki, która trzepocąc ładnymi skrzydełkami na długo jednak wraz z wypowiedzianą przestrożą w pamięci dziecka zostaje.

Panna Marya Weryho w swojej „Zimie“ (Nakład Gebethnera i Wolffa) opisała „małym dzieciom“ wszystko, co robią, cierpią, jak się bawią, kłóca, godzą, jedzą, narzekają, marzną i marzą—ptaki. Ptaki i dzieci mają coś wspólnego ze sobą: ta sama ruchliwość, wesołość, szczebiot, to też wesołą tę, a zarazem ściśle na zoologii opartą książeczkę, dzieci od razu zrozumieją, polubią, i skorzystają dużo, w czem dopomogą im bardzo udatne ryciny St. Sawiczewskiego zdobiące ładne dziełko.

Rękę Mistrzyni znać na niewielkiej, a pełnej treści „Przygodzie Jasia“ (Wydawnictwo Spółki Nakładowej), w której p. Orzeszkowa zbliżyła wypieszczone i teńhorzliwe dzieci bogatych rodziców do ubogiej rodziny garncarza i biednych żebraków, w zetknięciu z którymi chłopiec uczy się poznawać i „rozumieć wielką różnorodność zajęć i losów ludzkich.“ Na 67 stronnicach rozwija się przemiana dobrego w gruncie serca Jasia, „budzi się życzliwość i współczucie dla ubogich wtedy dopiero, „gdy zobaczył ich na własne oczy, gdy ich życie, „pracę, cierpienia, przynioły i nawet wady poznał „za pomocą spostrzegania i doświadczenia własnego.“ Ustępny uczuciowy łączy się z tą jasną i wybitną zawsze dążnością wielkiej znawczyni społeczeństwa ludzkiego, — aby wszystko zdobywać i umieć zdobywać własną siłą, własną energią i osobistą zasługą, do jakich nawet dziecko przyzwyczajonem i naganianem być powinno. P. Antoni Kamiński ozdobił książeczkę rycinami.

„Przygoda Jasia“ i „Witek z Kleparza“ (Nakład Gebethnera i Wolffa) obrazek Z. Morawskiej przeznaczone są dla dzieci, którym już nie potrzeba wszystkiego mówić w bajce osłaniającej sens moralny, obie

te powiastki wyrażają dobitnie czego się wymaga co złe, a co dobre i jaką drogą do jakiego docho- dzi się celu. Ow „Witek“ od dziecka strugający nożykiem w drzewie ku podziwowi ludzi, a wielkiemu niepokojowi matuli, jest sławnym, a nieszczęśliwym Witem-Stwoszem, a jego dzieje, młodość, pracę, sławę i tragiczne losy opowiedziała autorka z prostotą i wymownie. Miejscami może są wyrażenia zatrudne dla młodzieży ze względu na całość stylu utrzymanego bardzo przystępnie, powiastkowo. Dla młodzieży dorastającej, która już nietylko czyta, lecz pochłania książki, mamy dwie nowe prace w nakładzie Gebethnera i Wolffa: „Historię o Antku Rolniku“ Zofii Bukowieckiej, i „Jedynaczkę“ powieść Bronisławy Porawskiej. W tej historii o Antku snuje się nam przed oczyma cała gromadka ludzi ciężko pracujących, łamiących się z losem, ze smutkiem, z nawałem roboty, na różnych polach szukających zarobku i ucziwego stanowiska; gromadka ludzi, która myśli, czuje, dąży, bo czuje, że „Bóg dał rozum, żeby nie gnić, jeno pracować szczerze.“ Są tu jedni szczęśliwi, kochający i kochani, serdeczni i pogodnie patrzący na ciernistą drogę, mówiący sobie, że „we dwoje dobrze jest żyć, byle przytem pracować.“

Są i inni, których smutek, walki, jałowość życia łamie i rozgorycza, którzy „trawieni tęsknotą do ciepła rodzinnego, nie umieli okazać go sami. Bawą takie serca zakłète, które, kryjąc w sobie skarby uczuć, nie dają szczęścia i same go nie doznają.“ To też autorka zaleca miłość mocną, świadomą, czynną—ludzi, obowiązków, którą wiele zbudować można, więc górą młodzi!—Powinszować p. Bukowieckiej tej książki, a młodzieży na gwiazdkę życzyć aby ją przy choince znalazła, czytała raz i drugi i spamiętała tej książeczki tajemnicę opartą na miłości, sile i pracy.—„Jedynaczka“ p. Porawskiej czyta się łatwo, lekko, przyjemnie; jest to już powieść, „naprawdę“ powieść, jak to się o to dopytują niecierpliwie młode panienki: są i bohaterki i bohaterowie, są uczuciowe walki, egoizm, miłość, poświęce-

nie i słabość, siła i bierność, cała gama uczuć i nastrojów, osnuta na tle dziejów jedynaczki, która ulega stopniowym zmianom wśród życia wypadków nie przechodzących bez śladu koło jej wrażliwej duszy i podatnego do udoskonalenia charakteru, choć zrazu bardzo skrzywionego złem i nieudolnym wychowaniem.

Książka jest bardzo dobrym przyczynkiem do nie obfitej u nas jeszcze literatury powieściowej dla młodzieńskich dziewcząt.

Znany historyk Walery Przyborski skreślił dzielne swem, jaskrawem, dobitnym piórem opowiadanie p. t. „*Madejowe Łoże*“ (Nakład Gebethnera i Wolffa). Dwie postacie, jedna historyczna zupełnie, druga napół legendowa: wojewoda Masław i rozbójnik Madej występują na tle ruchliwego XI-go stulecia w całej swej groźnej potęgnej, prawie dzikiej, fantastyczno-pogańskiej wśród fali niespokojnych wypadków dziejowych, z których wyłania się ku końcowi spokojna i opiekuńcza postać króla Kazimierza. Wśród chaosu bezkrólewia panoszy się butny Masław, rozbija i łotrzuje Madej, goreją miasta, niszczone świątynie, hulają ludzkie żywioły a w głębi podziemnej piwnicy archidyakon płocki Janko przygotowuje „madejowe łoże“. Ale inaczej losy zrządziły; zbój mści się na archidykonie tem samem łożem tortury a potem lata całe kłęczy w głębi puszczy odbywając pokutę za grzechy żywota, rozgrzeszony przed samym zgonem. „Dziś i puszczy tam niema, i dawnych czasów już niema. Wszystko na świecie przemija, tylko to żyje co pieśń ludowa w swoje łono ujęła, swem skrzydłem tęczowem okryła“ kończy autor swe opowiadanie, dodamy jeszcze, i żyje, co dziejopis nanowo ze zmierzchu wydobędzie, myślą swą oświecili, intuicyą ożywi.

Pozostaje nam jeszcze książka, nietylko nowa wydawnictwem, i datą przyszłego roku, lecz całkiem nowa pomysłem na który już czas nam było. Mówię o dziełku pani Janiny Krakowowej, napisanem dla młodzieży p. t. „*Sztuka*“. Estetyki dla młodzieży nie mieliśmy; należy się więc szczerza wdzięczność autorce że podjęła zadanie to niewymownie trudne;—bo pisać o pięknie, arcydziełach, ideale, stylu, słowem o ideach oderwanych a wyrażanych przez mistrzów za pomocą dzieł natchnienia, pisać przystępnie, krótko, łatwo, prosto, treściwie a dokładnie, to istotnie wcale nie łatwo i trzeba dużej zręczności, aby słoneczny świat sztuki tak przed oczyma młodzieży ustawić aby ich ani nie oślnię ani też owej sfery piękna nie przyćmić, nie spospolitować.

Przyznać trzeba, że się autorce udało trudności pokonać i dać w ręce młodych czytelników książkę zajmującą, systematyczną a nie nużącą — słowem, bardzo pożyteczne dziełko, prawdziwą, gwiazdkową niespodziankę. Książka obejmuje dwa wstępne rozdziały, omawiające w ogóle istotę i przedmiot sztuki, dalej rozwija na przykładach sztukę starożytną, średniowieczną, nowożytną, a wreszcie jako dodatkowe działy piękna omawia rytownictwo, ceramikę, tkane obrazy, snycerstwo, ozdobne stolarstwo i kilku słowami zakończenia zachęca do pielęgnowania sztuki o ile komu jest danem, bo „każdy i w każdej okoliczności może być artystą w swoim zakresie“ choćby tylko w umiejętnie estetycznym urządzeniu mieszkania, „trzeba tylko tego chcieć i—miłować piękno“. Pracę swoją oparła p. Krakowowa na dziele E. Pécault'a i K. Baudela; liczne (104) ryciny miały zdobić książkę, nie możemy jednak przyznać, aby te ryciny, takie jakimi one są, naprawdę dziełko zdobiły. Książce tak pożytecznej wartoby było nieskąd lepszych ilustracji i powiedzmy szczerze, uważniejszego ich wyboru, zważywszy, że to idzie właśnie w ręce młodzieży. Wartość rycin jest niemal żadną; nie dają one przybliżonego nawet pojęcia o arcydziełach; jeszcze o ileż dotyczą architektury, ująć by mogły, ale odbicia z rzeźby, a już z malarstwa są wprost niemożliwe. Gdzież to odszukać piękna na takiej rycinie „*Kalwaryja*“ Cousin'a, „*Porwanie Sabine*“ Dawida, „*Cyganie*“, „*Callot'a* i tylu, tylu innych.

Co do wyboru to zdaniem mojem możnaby zmniejszyć liczbę tych atletów i zapasników; w jednym rodzaju za wiele, a za to dać choćby parę arcydzieł rzeźby i malarstwa z naszej sztuki dawniejszej i współczesnej.

Przykro nam nie spotkać w całej książeczce swojego Mistrza; mimowoli szukamy Wita-Stwosza, Matejki, Sosnowskiego, Grottgera, Welońskiego. Nie masz ich wcale. I jedna jeszcze uwaga dopomina się szczeremu słowu.

W owych ogólnych określeniach co to jest sztuka i sztuki piękne, na pytanie, jaki jest z nich pożytek? odpowiada autorka wprost jednym wyrazem: Zaden. Oprócz przyjemności i wzruszenia, które mija „są one nacechowane tą ogólną właściwością, że są ładne, piękne, chociaż nie przynoszą drażnego, dotykającego pożytku.“

Zdaje mi się, że tak bezwzględnie nie możemy odsądzić sztuki od zasad pożyteczności, piękna od zasługi pożytku. Wszakże w sztuce i jej dziełach nie chodzi o samo chwilowe „wrażenie“, ma ona inne jeszcze cele. Na razie widzę aż trzy:—dla artysty jest ona drogą jego powołania, jego działalności na ziemi, jego wpływu na cywilizację; dla ogółu jest źródłem, wcale nietylko „przyjemności“ lecz źródłem kędy duch człowieka czerpie swe uszlachetnienie, pobudki do wzniosłości, w pięknie odnajduje dobro i prawdę, w pięknie umysł swój rozwija a uczucie swe oczyszcza z brutalizmów doczesnych, w sztuce bowiem tkwi iskra boża, która nie może być „niepożyteczną“, a na koniec sztuka to przecież praca tysięcy natchnień i rąk ludzkich a ileżby to rąk bezczynnie opadło, gdyby naraz sztuka ustała, wykluczona jako — nieużyteczna! Musi być pożyteczne to, do czego człowiek przez siły przyrody lub pęd ducha jest *zmuszony* wykonywać. Cóżby tacy Raphael lub Canova mogli czynić „pożyteczniejszego“ niż malować i rzeźbić? a przecież nie żyli napróżno, bez zasługi użyteczności!

Czyby nie warto te wstępne rozdziały rozszerzyć, powiedzieć coś więcej o tej iskrze boskiej, o powadze natchnienia, o odpowiedzialności artysty za dar niebios, którego marnować ani lekceważyć nie wolno! Ponieważ książka obejmuje tylko trzy działy sztuki, t. j. architekturę, rzeźbę i malarstwo, oraz sztukę stosowaną, spodziewać się należy, że szanowna autorka nie ustanie na swej szczęśliwie obranej drodze i da nam tom drugi „*Sztuki*“ dla młodzieży, gdzie znajdziemy dwa inne jej działy: „*Poezyję*“ i „*Muzykę*“ równie potężnie działające wrażeniem i cywilizacyjnym wpływem na rozwój ludzkości, a kto wie czy nie łatwiej zrozumiałe, nie bliższe serca i wyobraźni młodzieży od piękna w marmurze lub na płótnie. W tej nadziei, wdzięczni za dziś, żegnać pragniemy autorkę słowem—do widzenia, a że będzie ono „miłym“ zapewnia nas obecna już książeczka.

Z krótkiego przeglądu wydawnictw gwiazdkowych widzimy, że dużo dobrej woli i pracy włożyli w nie autorowie oraz księgarnie; plon jest obfity i zyska niezawodnie poparcie młodych czytelników, niecierpliwie czekających owego wigilijnego przy oplatku podarku, który się jednym tchem pochłania zrazu, a potem powraca do niego w wolnej chwili jak do wypróbowanego powiernika i zajmującego towarzysza.

Szczesna.

POGA WĘDKA.

Nie święty Marcin ale święta Katarzyna na białym przyjechała koniu. Nie dziwimy się tej nowości—niewiasty zaczynają brać górę wszędzie; to też i w dniu S. Marcina było pogodnie na niebie, S. Katarzyna pierwszym puszkim srebrzystym przysypała ziemię, mróz zaś ją ścisnął i nie chce jej wcale z usciszków swoich wypuszczać.

Wczesną, ale uczciwą mamy zimę; malują się kwiaty na szybach okien, wesoły ogień strzela w piecach, ludzie się tulą w ciepłych futrach i palotach watowanych grzejąc się przy kominku i—zdaje się,—że przepowiednie proroków, w rodzaju Falba, nie spełnią się i tym razem, a gospodarze więcej nie będą narzekali na brak białego okrycia, pod którego opieką rzucone ziarno w glebę na sen zimowy, prześpi spokojnie, do czasu, dopóki wiosna

nie każe mu się rozbudzić i rozzielenie się ku słońcu i błękitom.

Śliczna jest zima ze swoją szatą białą i kryształami lodu, skrzęca się iskrami brylantów, ubierając drzewa i krzewy w puszyste, miękkie szrony.—Odziane lasy tą bielą stają się czarodziejską krainą, wśród której można się zabłąkać, zapominając o wszystkim, co jest na świecie:

Lubiłem błądzić pośród tych zakrętów,
Gdy drzewa w srebrne ubiorą się szrony
I stoją ciche w osadzie dyamentów
Z pochylonemi ku ziemi ramionym—
Wkrąg białosc śnieżna i cisza odmetów
I jakiś spokój śmierci nieskończony—
Czasami tylko śnieżysta kaskada
Na ciebie spadnie lub przed tobą spada.

Dziwnie szeleszczą owe wodotryski,
Które się w pyły rozsypują drobne—
Śnieg tylko skrzypi pod nogami śliski
I patrzą drzewa tak do palm podobne
Lub, jak zwichrzale przez czas obeliski,
Przedziwnym kształtem srebrnych nici zdobne
Stoją, rzucając na białe przestrzenie
Wiotkich swych kształtów szafirowe cienie.

To też kochałem zawsze tę piękność zimy, ale kochałem — będąc na wsi. W mieście, podczas niej, uwidocznia się w sposób straszny nędza ludzka i zatruta niejedną godzinę i tak nie lekkiego życia. Bez przesady powiadam że bez doznania wielkiej przykrości nie mogę przejść przez ulice Warszawy. Bo oto, idę w ciepłe palto odziany, a palto mam jedno tylko; w kieszeni mojej jest portmonetka, lecz w niej bywa pusto czasami,—a tu spotkam jakiegoś nędzarza drżącego od zimna, w odzieży, w jakiej ludzie pojawiać się dopiero bezkarnie mogą w ciepłych dniach wiosennych. Trzęsie się biedak a usta ma zsiniałe od zimna, a w żołądku głód pewnie warczy i powiększa cierpienie. Takiego nędzarza ominąć nie mogę, uczuwam dreszcze, jakich on doświadcza, daję mu część zawartości swej chudej portmonetki, a uśmiech, który przed chwilą miałem na ustach znika gdzieś, a myśli smutne do głowy napływają. Wtem na zakręcie pierwszej jakiejś ulicy spotkam drugiego nędzarza;—drżącymi rękami otula piersi nagą, palec nóg wyłażą z obuwi, nie mogę zrozumieć słów, jakimi przemawia do mnie. Oczywiście, że część zawartości mojej portmonetki znów się zmniejsza, a gdy i trzeciego spotkam, wracam do domu bez tych kilkudziesięciu kopiejek, które miałem przy sobie.—Zrobiłem, co mogłem, a jednak nie czuję zadowolenia żadnego—przeciwie, nie zrobiłem nic. Grosz dany, na chwilę tylko głód przytłumi, lecz pół nagi nie okryje pleców, nie da poznać rozkoszy ciepła. A tych *drżących* codziennie spotyka się tylu na ulicach Warszawy.

Zkąd oni są, dla czego tułają się—nie wiem!... a choć myślą w tej chwili zwrócę się do Towarzystwa Dobroczynności, nie mogę do niego mieć żadnej pretensyi, bo nie wiem, czy pomimo wielkich funduszy jakie posiada, jest ono w możności zapobieżenia tej nędzy ulicznej. Zresztą zdaje mi się, że wszelkie instytucje dobroczynne, mogąc zrobić wiele, nie robią wszystkiego; krom sił zbiorowych, potrzeba jeszcze i uczynków jednostek i przejęcia się temi słowami Boskiego prawodawcy:

„Jeżeli masz dwa płaszcze, jeden z nich oddaj!“
„Kurjer Codzienny“ podniósł już kwestyę węgla, za którą biedacy drożej płacą niż ludzie zamożni. Jeżeli tak jest w istocie, to już jest zadaniem Towarzystwa Dobroczynności zająć się tą sprawą i nie pozwolić, by pustem dźwiękiem przeszła tylko przez łamy dzienników.

Wspomnieliśmy o „*Kurjerze Codziennym*“, który pod nową redakcją stał się więcej ożywionym, a we wstępnych artykułach, mówiących o rzeczach społecznych, nieraz podnosi bardzo ciekawe i bardzo nowe kwestye. Zainteresował nas artykuł z d. 1 Grudnia, skreślony przez samego redaktora,

a zatytułowany: Sami o sobie.—Autor tu obserwuje dziwne zjawisko, jakiego od dłuższego czasu jesteśmy świadkami, a mianowicie, że „literaci bardzo chętnie za cel swych strzałów biorą... literatów.“ Powieść, komedia, artykuły dziennikarskie malują typ literata i dziennikarza ponuremi farbami. Z tego wynika, że „gdyby czytająca publiczność nigdy nie miała sposobności zetknąć się z nimi w życiu codziennym i znała ich jedynie z tego, co o literatach się pisze, nabrałaby niewątpliwie odrazy do tej kategorii ludzi, a nazwa literat lub dziennikarz byłaby dostateczną, aby zasłużyć jeśli nie na pogardę, to przynajmniej na lekceważenie.“ Lecz za długo pracowano nad oburzeniem współtowarzyszy, aby rzecz ta pozostała bez żadnego wpływu na czytelników. Obniżył się jednak i poziom dziennikarstwa naszego i pisma nasze rozminęły się ze swem założeniem.

Na czym to rozminięcie się polega?

Cel każdego pisma jest jeden: powinno mieć głównie na myśli dobro swojego społeczeństwa—interes zaś osobisty, bądź co bądź, na drugim planie stać powinien. Niektórych jednak pism odwrotną jest etyka. Nie dobro ogółu, lecz względy materialne prym tu trzymają, i z tej racji rodzi się zawzięcie, wynajdywanie dziur na całym, a „brak samodzielności i uleganie pewnym wpływom lub okolicznościom, robi z niektórych dziennikarzy posłuszne narzędzie, dopomagające do osiągnięcia nie zawsze szlachetnego celu. Niektóre organy prasy przyjęły za zasadę: „Wszystko złe, co nie u mnie i nie odemnie,“ chęć szkanowania innych organów w nie tylko przeciwnych przekonaniach i dążnościach, lecz i należących do tego samego odcienia, doszła do niebywałych rozmiarów. Czytano i wczytywano się w to, co piszą inni, aby coś wynaleść, pochwycić i—hajże na Soplicę! Chęć dokuczania stała się jakby potrzebą, niektórych pisarzy i pism, a wszystko to w tem błędnem przekonaniu, że zaszkodziwszy przeciwnikowi, pomoże się sobie, że skutek poniżenia przeciwnika będzie taki, iż prenumeratorzy opuszczą go i przejdą do tego, kto go poniżył potrafił. Lecz i przeciwnicy nie pozostawali dłużni, odpłacając z lichwą za zaczepki.“

Publiczność czytająca nie dała się wyprowadzić w pole, zrozumiała do czego prowadzą te napaści i intrygi, a widząc w tej walce niskie tylko cele, zaczęła tracić wiarę w to, co piszą. Płachta wywieszona o świetnej barwie sztandaru, stała się tylko pokrywką samolubnych i poziomych celów.

Bez konkurencyj jednak obejść się nie może—jakąż więc ona być powinna?

Odpowiedź łatwa:

„Obfitość i dobór treści—to podstawa i środki do konkurencyj, pojętej w szlachetnym znaczeniu. Wszelkie inne wyłączyć należy.“

Trudno się nie zgodzić z następującem zdaniem: „Fowodzenie pism nie tylko nie powinno budzić zazdrości, lecz radość, bo znaczenie rozwoju prasy i czytelnictwa rozumiemy wszyscy. Nie zniechęcać więc, lecz zachęcać czytelnika należy, wyrabiać w nim przekonanie i przywiązanie do piśmiennictwa rodzinnego. Niech tym sposobem czytelnik kształci umysł, duszę, serce i język swój!“

Kiedyś już raz zajrzeli do dzienników, nie możemy tak szybko rozstać się z nimi i oto znów się spotykamy z „Posłem Prawdy“, którego słusznie „złotoustym“ nazywają.

Znane są słowa wieszczu wypowiedziane o nas, że byliśmy zawsze pawiem i papugą narodów. Nie tylko lubiliśmy i lubimy w obec stworzyć się piórka, ale nam dotąd zielsko jakieś przewieszone z zagranicy milej pachnie niż rodzinna macierzanka. Tużinkowy, byle tylko z patentem zagranicznym pisarz, chętniej jest od naszego czytany. „Jeszcze Sienkiewicza—jak mówi „Poseł Prawdy“ śmiemy wsuwać do Walhalli europejskiej, ale innych pisarzy, uważamy za przeznaczonych na użytek domowy, pomimo, że między nimi są tacy, którzy przerastają talentem o dużą miarę koryfeuszów zagranicznych.“

Więc ej niż o swoich o cudzych bogach wiemy.

Któż nie zna Ibsena? Może nie z dzieł jego, których nie czytał, ale nazwisko to jest powtarzane z dziwnym zachwytem nieraz. „Wichry dziennikarskie“ mówi Poseł prawdy „ustawicznie wyły: Ibsen napisał to, Ibsen napisał owo, nowy dramat Ibsena wywołał burzę sprzecznych sądów, Ibsen nieprzepartą

mocą swego geniuszu zaklął i trzyma w nateżeniu uwagę świata, Ibsen mieszka w Monachium, Ibsen jąda zwykle białą rzodkiew, Ibsen przyszyty niebotyczną czuprynę i t. d.“

Rozprawiwszy się z Ibsenem z powodu przekładu na polski język jego „Cyraniki“, w którym poseł widzi „zwitki posłednich kłaków literackich, nad którymi stoi zadumana krytyka i rozmyśla, jaki rodzaj jedwabnika wyprzął te przesłeczne kokony jedwabiu“ dochodzi do przekonania, że—w naszej nbożej literaturze znalazłby się cały zastęp dramaturgów zdolniejszych od Ibsena, że jego dyalogi stoją na poziomie mizernih ramot scenicznych, że jego charaktery są robotami niedołężnej ręki, że wolałby policzyć nitki siatki pajęczej, niż przeczytać jego „arcydzieła“, że gdyby mu w wyroku sądowym, dano do wyboru trzy rodzaje kary—powie: „zapłać grzywnę, pójdę do kozy, tylko na miłosierdzie nie każcie mi się nauczyć na pamięć jednej sceny z „Cyraniki.“

„Poseł prawdy“ podjął tę kwestję zaciętrzewiania się w znakomościach zagranicznych, dlatego—że na nas zawsze wrażenie robi stempel zagraniczny, a o nasz własny tak mało dbamy, że dość jest prasie przeczytać na okładce książki nieznajome jakieś nazwisko, by już sąd nieprzychylny o całym dziele wydać. W ten sposób krytyka nasza obeszła się z „Listopadem“ Niemojewskiego „pełnemi rajen fantastycznych obrazkami z kopalń dąbrowieckich. Gdyby ten Niemojewski był Szwedem piszącym po niemiecku! Wyrok wypadłby całkiem inaczej.“

Uwagi swoje kończy Poseł Prawdy temi słowami:

„W podobnych wypadkach nie chodzi jedynie o krzywdę tego lub innego talentu, ale może jeszcze bardziej o mącenie pojęć ogółu i pozbawienie go probierza, za pomocą którego odróżniałby rzeczy wielkie—zawsze dla niego ważne, od małych—zawsze dla niego bezwartościowych. Jeżeli mu ciągle wbijamy w głowy, że Ibsen jest olbrzym, a Cyranika—arcydzieło, że pisarze potężnych narodów są karmicielami jego ducha, a swojsey mieli dłań plewy, to ten ostatecznie pije mętną wodę, chwali ją jako wyborne wino a prawdziwem winem obmywa swe naczynia i sprzęty—dziwiąc się, że mu sił nie przybywa.“

Czytamy szczegółowe rozbiory prac obcych pisarzy—naszych zbywa się ledwie pretensjonalnem poklepaniem po ramieniu. Nowy reżyser p. B. Ładnowski ma dobre chęci, a jeżeli one będą poparte czynem, możemy w przybytku swojskiej Melpomeny pewnych zmian na lepsze się spodziewać. Teraz nam zapowiadają parę nowości i to nie fars, nie krotchwil, nie komedii nawet, ale—z dziedziny dramatu. Pierwszą będzie pięcioaktowa tragedia (tak, tak... tra-ge-dya!) p. Kozłowskiego, autora Wójta Alberta i Esterki, pisana wierszem rymowanym a mająca być przedstawioną w Teatrze Wielkim p. t. „Turniej“, drugą—dwuaktowy dramat Kazimierza Glińskiego p. t. „Dla czego?“ mający być przedstawiony również w Teatrze Wielkim d. 13-go b. m. na poranku na wspomnienie kasy artystów. W obsadzie tej sztuki figurować będą: Panie: Fedorowiczowa, Czaki i Szymanowska; panowie: Prazmowski, Nowicki i Bolesławski.

Rzeczony poranek zapowiada się bardzo interesująco i mamy nadzieję, że publiczność nawiedzi tłumnie gmach teatru, dając tem wyraz swojego uznania dla podjętych trudów przez artystów naszych. Krom wyżej wspomnianej premiery, ujrzymy akt III dramatu Szyllera „Marya Stuart“, akt czwarty z mało znanego dramatycznego utworu Karola Szajnochy p. t. „Stasio“ gdzie w roli tytułowej wystąpi Ładnowski, dalej Borawski, Roland i Zejdowski;—„Pocałunek“ Banville'a, w którym ukażą się p. Dzi-ryt-Dobrowolska (występ gościnny) i p. Szymanowski. Programu dopełni „Zabawa dziecięca.“

„Dzień 13-go Grudnia, krom poranku i zwykłych widowisk teatralnych, da nam jeszcze jedno przedstawienie wieczorne w Sali Muzeum i Przemysłu, gdzie siły amatorskie wystąpią w „Intruzie“ Meterlincka, którego przekładu dokonała p. Walerya Marrené. Reżysseryą zajmie się Maryan Gawalewicz, poprzedzając przedstawienie krótką prelekcją o Meterlincku.

Przyznajemy się otwarcie, że nie jesteśmy zwolennikami sposobu traktowania przedmiotu przez

Meterlincka, który powtarzaniem kilkakrotnem jednych i tych samych wyrazów np. wiatr szumi, szumi wiatr, o, jak wiatr szumi!—i t. d. ma, sposobem sugestyi, wywołać wrażenie wiatru, efekt grozy, zając umysł widza spodziewaniem się czegoś nadzwyczajnego. Słyszeliśmy, że jakoby Vrehlicky, dramaty Meterlinckowskie, nazwał „udramatyzowanym Ollendorferem“ dla tych właśnie powtarzań—bądź co bądź jesteśmy ciekawi przedstawienia, i—jeżeli się uda—przykłaśniemy z całego serca Gawalewiczowi, podziwiając zarazem jego talent reżyserski.

Wykonanie „Intruz“ wymaga niezwyklej subtelności i ogromnej miary. Gdzie, a gdzie, to w dramatach Meterlincka, w tym właśnie powtarzaniu się wyrazów bardzo łatwo jest wpaść w komizm;—Maryan Gawalewicz podjął się niemałego trudu, ale nikt inny tylko on w danym razie może te trudności pokonać.

Wspomniony wyżej utwór Meterlincka, jako też wszystkie głównejsze jego dramaty tłumaczone były dzielnie piórem Miriama (Zenona Przesmyckiego). Tłumaczenia p. Marrené nie znamy, wybór jednak Gawalewicza przeniósł je nad tłumaczenie Przesmyckiego. Chęć tu malutki spór zawiesić, tycający się tytułu—Intruz.

Czy nie lepszym byłoby użyty tytuł przez Miriamę: „Gość nieproszony?“ Jakkolwiek intruz gościowi nieproszonemu odpowiada w części, ma jeszcze znaczenie *wdzierycy* i *natręta*. Z gościem, aczkolwiek nieproszonym—obchodzimy się zawsze z pewną grzecznością; natręta czyli intruza—bez żadnej ceremonii za drzwi wyrzucamy. U Meterlincka tym gościem jest—śmierć!.. To też go oczekują z pewną poważną trwogą, jako nieproszonego lecz poważnego gościa, przed którym, bądź co bądź, czoło pochylić potrzeba. Na intruza tak się nie czeka: Jeżeli wzbudza on strach, to i gniew zarazem—i mimowoli szukamy sekatej pałki koło siebie. Śmierć więc może być—gościem nieproszonym, ale intruzostwo, czyli natręctwo—nie pasuje do niej.

Kwestya zrzucania kapeluszków damskich podczas przedstawień w teatrze weszła obecnie na porządek dzienny i zdaje się, że przyjdzie ta błogosławiona chwila, kiedy panie piórami i kokardami nie będą nam zasłaniały widoku. Jak nam donoszą dzienniki Dyrekeya na dobre zajęła się ta sprawą i ma wkrótce wyjść czy już wyszło nawet (napewno nie wiem) rozporządzenie, ażeby kobiety zamiast kapeluszy swojemi, zasłaniały nam trochę widownię swojemi główkami ozdobionymi li tylko warkoczem włosów. Tej nowości nie jesteśmy przeciwni—kto wie nawet czy nie mielibyśmy piękniejszego widowiska!—tylko rozkaz dyrekeyi powinien być poprzedzony umieszczeniem stosownych pólek czy szaf w kontramarkarni, gdzieby stroje głów niewieście bezpiecznie spoczywać mogły. Inne rozporządzenie może wejść w wykonanie natychmiast i bodaj czy nie jest od pierwszego ważniejszem: jest niem—wzbronienie wchodzenia do krzesła podczas rozpoczętego przedstawienia. To szwędanie się i szastanie, to opóźnianie się do teatru i zjawianie się nie w porę, jest u nas do nieprzyzwyczajności rozpowszechnione. Raz w raz musisz powstawać, by przepuścić koło siebie marudera, nie słyszysz więc nic, co mówią na scenie, tracisz wątek wypowiedzanych myśli i zdań, a jeśli sztuka nie znasz, nieraz dużo jej piękności straconych dla ciebie zostaje.

I dlaczego?

Dlatego, że pan B. bywalec teatralny, zna do bize już rzecz graną i przychodzi sobie do krzesła po zgraniu przed tem partyi wintu; albo dla tego, że pani I. mając trzy godziny czasu do wybrania się na widowisko, nie mogła sobie stosownie włosów ułożyć, lub przez pół dnia się wahała czy lepiej dziś jej będzie do twarzy kolor zielony lub żółty. Ale mnie szanowny panie B. mało obchodzi czy ty grałeś w wintu, lub że ciebie taka, a taka sztuka nie interesuje wcale; mało mnie obchodzi czy szanowna pani I. czy masz na sobie coś zielonego czy żółtego i bądź pewna, że wzrok mój będzie zwrócony na scenę nie zaś na kolor twej sukni. Zresztą nie jeden nie może być codziennym gościem w teatrze, bo ani zajęcia ani środki materialne nie zawsze mu na to pozwalają; i oto raz sobie pozwolił na ten zbytek, a tymczasem tak mu się wciąż przed nosem szastała, że nie wiele widzieć, a mniej jeszcze słyszeć

może. Rozporządzenie więc dyrekcji zabraniające wstępu do sali teatralnej podczas przedstawienia byłoby korzystnem z dwóch względów: prawdziwym miłośnikom sceny pozwalałoby bez przeszkody nasycić się daną sztuką, i—zmusiłoby panią I. do pospieszniejszego załatwiania się ze swoją toaletą. Wilk byłby syty i owca cała!

Zapowiedzianą jest u nas wkrótce wystawa haftów maszynowych wykonanych w Ameryce. Nie wątpimy, że publiczność nią zainteresowaną zostanie, a niejednen Ibsenista powie:

Ach! przecie nauczymy się czegoś!..

Przepraszam!—czy u nas nie kwitnie hafciarstwo krajowe?

Jak babcię kocham, że Ibsenista się zdziwił.

Tak, szanowny panie—mamy swoje własne i to nie byle jakie wyroby hafciane z zakładów hr. Plater, Magdalenek, Br. Rayskiej i w. i. nieustępujące wcale amerykańskim. To też, dla przekonania niewiernych, podejmujemy chętnie myśl rzuconą przez „Kurier Codzienny“ ażeby oprócz tych wymienionych wyrobów zagranicznych, urządzić jednocześnie i wystawę naszych robót w tym zakresie sztuki. Hafciarstwo nasze pod pewnymi względami doszło do doskonałości; naśladownictwo, na przykład, starożytnych haftów, zdumiewa wykonaniem, a wyroby maszynowe są tak piękne, że w handlu uchodzą za—zagraniczne!—To uchodzenie za—zagraniczne, jest kapitalne i smutne zarazem. Marki nam koniecznie z nad Sprei lub Sekwany potrzeba, ażebyśmy się czemkolwiek bądź zachwycić mogli.—Pomyślmy więc o tej wystawie naszego hafciarstwa razem z amerykańskiem, a może przekonamy się nacznie, że i nasz dyabeł nie jest tak czarny, jak go malują.

??

SONET.

Dusza poety tak jak rteć wrażliwa
Szybko przelata wzruszeń swoich stopnie,
I raz, gdy marzeń swoich szczytu dopnie
To się unosi dumna i szczęśliwa.

To znów gdy smutków otchłań się odzywa
A myśl się rzuci w nurt ich nieroztropnie
Szarpie się dusza i cierpi okropnie
I coraz głębiej w wnętrze swe zapływa...

O, ludzied! tylko nie twórzcie narzędzi
Na określanie stanów jej żywiołu,
Bo czy się skupia, czyli w przestrzeń pędzi

Czyli się wznosi, czy spada do dołu
Jedna jest tylko miara jej natchnienia—
Ciepło miłości, lub—ucisk cierpienia.

Szczesna.

LUBRANCE

POWIEŚĆ

przez

Z N I C Z A.

(Dalszy ciąg.)

Tego samego dnia przed wieczorem Henryk przyjechał do Woszatyniec. Chciał samotności i milczenia, by się mózgi opamiętać, rozważyć uczucia

i wypocząć po wrazeniach i trudnej roli obojętności i równowagi. Boć nie tylko ci cierpią, którzy płaczą, utyskują, którzy jękiem bóle tłomaczą, ileż cierpienia mieści się czasem w uśmiechu, pod zasłoną rozmowy uprzejmej i banalnej, w słowach ostrych i szyderczych, za którymi kryje się rozpacz lub miłość. Ból nie łagodnieje i nie ginie, choć się zęby ściska i nie daje mu się żadnej zewnętrznej oznaki; on jest, wgryza się w ciało, krew, nerwy, myśli i uczucia, potężniejszy od władców świata, bo duszę zabić może.

Henryk się omylił w swoich rachubach. Chciał być panem swoich uczuć i rządzić niemi według woli, chciał w Lubranceach razem z Jadwiną zostawić uczucie jakie miał dla niej, całą przeszłość, w której od tak dawna dźwięczały echa tej miłości nieszczęsnej, i wolny jak ptak iść ku zapomnieniu i zimnej pogardzie. Przyjechał do Woszatyniec, był zdala od Lubranceów a zamysły jego nie miały jeszcze formy. Nie przewidział, że uczucia silniejsza są od ludzi, nie przypuszczał, że wszędzie gdziekolwiek stąpi, zabierze w sobię ten świat wspomnień i wlec je będzie jak łańcuch ciężki i mozolny, który szarpiany, by go rozerwać, wpije się dalej w żywe ciało, dobędzie krwi, zaszczerpi ból.

W Woszatynicach wspomnienie Jadwini wyglądało ze wszystkich zakątków i krążyło w atmosferze. Gdy chodził po mieszkaniu, każdy sprzęt prawie przypominał mu jakieś marzenie z myśli o Jadwinie wysnute lub do niej skierowane. Tu wazon lub misterne, kunsztowne cacko oddawna do jej buduaru przeznaczone, tam jakaś kanapka, miękka i wygodna, na której Jadwinia spędzać miała wieczory z robotką w ręku i na pogawędce z Henrykiem. A biblioteka! Ileż marzeń było wysnutych na jej tle! Ileż razy myśl Henryka rysowała tam wiotki i zręczny kontur Jadwini! Zamierzał z jej pomocą bogaty księgozbiór po kilkunastoletniem zaniedbaniu, gdyż przedtem w Woszatynicach nikt nie mieszkał, doprowadzić do należytego porządku, mieli go kompletować dawniejszemi i współczesnymi wybitnymi dziełami, aby potomni mieli obraz myśli narodowej, choć zakłęty w ciasne ramy martwej litery, ale o ile się da dokładnie we wszystkich jej fazach i przejawach, bez opuszczonych wybitniejszych barw i odcieni.

Uśmiech ironiczny błędził po ustach Henryka gdy patrzył na to niezaczęte dzieło.

Po co pielęgnować ludzkie mrzonki? Po co nie mi myśl karmić i chodzić na manowce? To przecież tylko mrzonki! Po co z książek dowiadywać się o tem, czego się w życiu nie spotyka? Jakies chore, nienaturalne wyobrażenie mówią w nich o uczuciach zawiśniętych na ludzi zwyczajnych, o jakichś pięknych duszach, które nie bywają pod ziemską powłoką, mówią o cudnej krainie dobra i piękna, a nie wskazują do niej drogi. Poróż więc durny się myślą o niej, przysparzać cierpienia, bo tęsknoty i żałości? Czy i księgi ścisłej nauki warte są, by je przechowywać i studyować? Uwięziły ludzką umiejętność, poznanie i zastosowanie sił natury, wiedzę w krainie ducha i świadomość kroków na drodze postępu. Ale czy pomimo to rodzaj ludzki nie cierpi coraz więcej? Czy dały choć chwilę szczęścia?

Chyba tym tylko, którzy byli ich początkiem i pierwsi myśl nową otrzymali z Bożego natchnienia.

A najwięcej w tych książkach blagi trywialnej i naiwnej, przekonanej o swoim wśród ludzi posłannictwie, niegodnej, by ją potomnym przekazywać!

Z okien biblioteki widać ściany domu przeznaczonych na letnie kolonie dla biednych warszawskich dzieci. Od iluż miesięcy w myślach Henryka Jadwinia była dobroczynnym geniuszem tego przytułku, w każdym zakątku znaczyła się jej postać. Widział jak uczyła dzieci poznawać Boga i miłości bliźniego, pochylała się troskliwie nad słabymi i wynudniałymi, niosła ulgę, obmyślała przyjemności, wywoływała uśmiechy na bladych małych twarzyczkach, wzbudzała uczucia szlachetne, bo swoim postępowaniem nasuwała wdzięczność. Wszystko pierzchło, a rzeczywistość drwi i uraga. Może za usługi oddane młodemu pokoleniu odpłaci tą samą monetą? Może byłoby lepiej, żeby te dzieci wcześniej wymarły z braku zdrowia, powietrza i pokarmu? Może gdy wyrosną, szkodę

przyniosą społeczeństwu, może będą oszukiwać, zabijać i mordować, frymarzyć uczuciem i karykaturować naturę, może niewarto dawać im zasobu sił... Nie niewarto...

Wyzierało zewsząd wspomnienie marzeń i uczucia, wlokła się za myślą Henryka ruina jego ideału—wiary w dobro i piękno, w uczucie czyste i uszlachetniające.

Łatwo najpiękniejsze gmachy jednym uderzeniem w ruinę zamieniać, ale co stawiać na ich szczątkach? Ileż jest na świecie ruin, a czy wyrosło z nich coś takiego, coby dorównało ich dawniejszej okazałości i piękności? Kryjówki występnych lub żebraków, tuła się do dawnych odwiecznych zamków, zrujnowanych pono dla dobra i korzyści ludzkości. Na ścianach artystycznie zarysowanych, ze śladami natchnienia lub twórczej myśli, wyrastają karłowate rośliny do niczego nie przydatne, nikłe trawy i powoje, w basztach i podziemiach mieszkają puszczyki i duchy.

I w ruinach uczuć nie świetniejsze są następstwa. Trudno zbudować cokolwiek na ich miejscu, jak i usunąć zupełnie i doszczętnie; bo i one taksamo jak i tamte ze świata zewnętrznego, urokiem dawnej piękności przykuwają i poetyzują wrażenia, dają przyjemności smutne i gorzkie, chwilę powrotu w krainę przeszłości i wspomnień, dręczą a wabią i ust oderwać się nie chce od czary goryczy.

*

*

*

„Nie, ja tu zwaruję, a o niej nigdy nie zapomnę! Tak dłużej być nie może.“ Powiedział to sobie Henryk po krótkim pobycie w Woszatynicach, gdy samotność go zawiodła, nie dała tego czego żądał i szukał.

„Pojadę na Wielkanoc do Warszawy a potem zagranicę.“

Kazał rzeczy zapakować i wyjechał.

Przyjechał w Wielkim tygodniu, Warszawa była ożywiona ruchem i pogodą. Znajome panie po kościołach kwestowały, odwiedzano się w godzinach oznaczonych, każdy z monetą na tace, niósł uśmiech, świeżą wiadomość lub flirtu skrawek, opowieść o ciepłym słońcu, stopionym śniegu lub błocie. Ale to wszystko odbywało się cicho bez hałasu i dyskretnie, uśmiech nie zawsze z oczów na usta zeszedł, półgłosem mówione słowa płynęły ukradkiem bez zboczeń niepotrzebnych, ażeby Bóg z ołtarza nie nie słyszał i święci się nie zgorzyszyli a ludźmi Grób odwiedzający nie domyślił się przypadkiem, że „wielcy“ w kościele o czem innem niż o Panu Bogu rozmawiać potrafią.

— Vous savez, Henryk Lubraniecki jest w Warszawie,—mówiła do swego sąsiada jedna z kwestujących.—Przyjechał przed dwoma dniami, jest podobno taki sam jak zawsze, uprzejmy i spokojny, a o swojej dawnej narzeczonej nie wspomina.

— A tak. Widziałem go i spytałem co słyhać z jego małżeństwem, odpowiedział mi zupełnie naturalnie, że projekt ten do skutku nie dojdzie, gdyż panna W. wychodzi za kogo innego, że prawdopodobnie zawiadomienia o jej zaręczynach już są rozesłane, ale ojca swego nie wymienił.

— Muszę przynajmniej, żem się na nim omyliła. Daje dowód swemu postępowaniem braku charakteru i wytrwałości. Byłam pewna, że on tak łatwo nie da sobie odebrać narzeczonej, myślałam, że ją wykradnie i ślub wezmą potajemnie, albo, że przyjdzie w Lubranceach do jakiegoś strasznego rodzinnego dramatu! A tu nie. Co za zawód. Ach! Jakie życie jest nudne i pełne rozczarowań i monotoni!

I w innym kościele Henryk był przedmiotem pogawędki.

— Byłam tego aż nadto pewną. Rola romantycznego bohatera, zakochanego w biednej dziewczynie, nie była dla niego odpowiednią, to też się jej pozbył prędko a ze swoją narzeczoną zerwał bezwzględnie i cynicznie. Biedne, nieszczęśliwe dziecko, ta Jadwinia. Bo jeszcze w dodatku pani Zeneida w przystępie gniewu, za to, że dopuszczoną nie była do tej miłosnej intrygi, wyrzekła się nad nią opieki i nie chce już jej dłużej mieć u siebie. Wiem o tem ze źródła wiarygodnych. Ale Lubraniecki w tym wypadku okazał się człowiekiem serca i honoru. Chcąc ją wyratować z trudnego

położenia, ofiarował jej swój dom na stałe miejsce pobytu. Ponieważ jest wdowcem a Jadwinia młodą panną, pozycya ich względem siebie mogłaby być czasem dziwną i trudną, więc aby wszystko ustalić i pozostawić na właściwym miejscu, ofiarował jej także i swoją rękę. Oto jest czyn godny poklasku. To prawdziwy gentleman, z szacunkiem i względami dla pokrzywdzonej kobiety. Ale tacy dawniej tylko byli, terazniejsza młodzież o takich czynach wie tylko z tradycyi, a do naśladowania jest niezdolna.

Mówiła to pani L. nieprzyjaciółka Henryka, właścicielka córki na wydaniu, którą od trzech karnawałów wozila w rozmaite punkta zbytu, młodego Lubranieckiego mając ciągle na oku, z serdeczną chęcią nazwania go swoim zięciem; niewienczywszy jednak dotąd swoich zabiegów sakramentalnym rezultatem.

— Otóż i on, — rzekł ktoś ze stojących przy stole.

Rzeczywiście w drzwiach kościoła ukazał się Henryk. Szedł z Gogiem A. jednym z lepszych swoich znajomych, postanowili obejść razem wszystkie kościoły, gdzie kwestowały znajome panie.

Lekki ukłon na przywitanie, datek na tacę, parę zdań banalnych i znowu ukłon.

Henryk nie zdradził niczem przebytych wrażeń i obecnych myśli. Był swobodny, panował nad sobą, jak zwykle. Kwestarki nie były sympatyczne i interesujące, dał znak Gogowi do odejścia.

— Pani L. byłaby przeciwko temu nie miała, gdybyś był kilka grzecznych słówek powiedział jej córce, — rzekł Gogo gdy się znaleźli na ulicy.

— A czemużes ty sobie tej przyjemności nie za-fundował, przykreść nie byłaby znowu tak bardzo wielką, bo panna wcale przystojna.

— O tak, tylko ją twarz trochę szpeci, — odrzekł Gogo tonem przeświadczenia.

Henryk nie uważał na słowa Goga, po chwili milczenia zagadnął go z zajęciem.

— Powiedz mi, mój drogi, co mówią w Warszawie o mnie, o ojcu i Jadwinie.

— Hm, hm, w paru słowach określić tego nie można. Oficjalna wiadomość, ta, którą twój ojciec wypisał w listach do wszystkich swoich krewnych i znajomych, a którą każdy głośno powtarza nie wierząc w nią, po cichu i szepejąc co innego to jest taka, że jakoby hrabia Lubraniecki z powodu kuzynostwa pobrać się wam nie pozwolił, a jeżeli sam żeni się z panną D. to tylko dopełnia formy dla dania swym dzieciom czułej i kochającej matki, jakiejby w żadnej innej osobie znaleźć nie mogły.

Henryk się uśmiechnął, Gogo mówił dalej:

— Ale widzisz, co głowa to kapelusz, a co kapelusz to inna firma i cyfra, dlatego też każdy, inne zdanie o tobie opowiada. Jednak ta cała hałastra, która się światem nazywa zgadza się na jedno, że ciebie trzeba powiesić, posiekać, utłuc w móżdżierzu, zakopać żywcem do ziemi i przysypać prochem oburzenia.

— Mnie? Za co? Dlaczego?

— Tak, tak, ciebie samego. Dlaczego? Dlatego, że zawsze pokrzywdzony winien jest nieszczęściu. Uważaj tylko. Spadają na kogoś niepowodzenia i gromy, czy nie oskarżają o to samego dotkniętego? Ktoś komu krzywdę wyrządzi, to właśnie ten pokrzywdzony jest nudny i nieznośny, bo się skarży i narzeka, pewno nie wart uwagi, niedołączny, obrońić się nie umiał! Cóż jest ta opinia jednej sfery, formująca się z osobistych sympatyj, zawiści lub uprzedzeń, a która tak nami rządzi i tak się już wgrzyzła we wszystkie tętna życiowe, że już przeciwniej płynąć nie można, to byłaby walka bezowocna — ze świadomością przegranej! To jakaś istota o tysiącu językach, mówiących każdy co innego, a wszystko razem wzięte, wytwarza znowu zupełnie inne brzmienie, nie wypowiedziane przez nikogo. Traf, wypadek, fantazja rządzi tem stworzeniem, które niepowodzonych na szczyty prowadzi a zasłużonych nierozumnie strąca i depece. Mój drogi, pomyśl tylko, któż są ci tak zwani „popularni“, którym opinia towarzystwa cały katalog zasług przypisuje? Filistry, bo ona tych jednych rozumie najlepiej, filantropi przez próżność a w gruncie nie mający serca ani pojęć humanitarnych, tak zwani „uczciwi ludzie“, uczciwi z musu i przez niedołączność, bo do popędzenia nieuczciwości brak im sa-

modzielności i odwagi, a może w głębi serca wielkąby na to mieli ochotę; „inteligentni i światli“, którzy paradują w tandeciarskich strzępach wiedzy popularnej i ogólników przeszłych w przysłowia, etc. etc. Liczba „popularnych“ wywyższonych przez opinię przychylną jest nieskończona, tylko tacy są w uważaniu a popartym może być, albo filister naginający się do pojęć tłumy, albo geniusz, który się tłumowi narzuca i prawa mu dyktuje. Ale widzisz, jest jeszcze gatunek pośredni, do którego ja zaliczam mnie i ciebie, nie wyjątkowych ale i nie filistrów, u których własne „ja“ o wszystkim decyduje nie zważając na tłum, który ich nie rozumie, a zatem z góry potępia za winy nieistniejące. Mój drogi, według mnie, powinno ci to tylko po-chlebiać, że nasz kochany światek jest przeciw tobie, widocznie nie rozumie twoich uczuć i pobudek, to najlepszy dowód, że są dla niego za szlachetne.

— Ależ jaka jest ta moja wina, którą mi zarzucają? Przeciw któremu przykazaniu?

— O! Może chcesz zaraz artykuł i paragraf prawny! Zgrzeszyłeś przeciw takim przykazaniom, których możliwości Mojżesz nawet nie przewidział a Bóg nie zapisał, tylko ludzka kombinacya kreśli je między linijkami tych wyrzniętych i pod karę potępienia przez opinię stosować się do nich nakazuje. Zaś co do tych dziesięciu, można je omijać, byle tylko zręcznie, unikając przedewszystkiem nazwania rzeczy po imieniu.

— Nie ze wszystkim zgadzam się z tobą. Przecież nikt tak trafnie jak opinia publiczna nie piętnuje występku i nieuczciwości. Gdyby opinia nie miała trwałego logicznego gruntu, nie byłaby taką potęgą, bo siła każda sztucznie, fantazją wywołana, szybko ginie jak dziecinny balon powietrzem napełniony, opada od jednego uderzenia szpilką. To dobrze, gdy się jest neutralnym twierdzić, że sąd własnego „ja“ powinien wystarczać pomimo wszystko, ale poza tem „ja“ nikogo więcej za nami nie będzie, to już samo to odosobnienie stawia nas nieprzyjaźnie względem drugich i wytwarza rozdźwięk, a gdzie jest rozdźwięk musiało być przedtem i starcie. Co do mnie, gotów byłbym nawet do poświęceń, byle tylko uniknąć walki z opinią, chociażbym czuł, że słusność jest po mojej stronie. Sama walka, choćby nawet z nadzieją wygranej, jużby mnie unieszczęśliwiała, gdyż czułbym się wykołowanym.

Gogo się rozśmiał i niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Dziwna wrażliwość! Jeżeli sobie kogo lekceważę, to właśnie pokazanie mu języka zrobiłoby mi wielką przyjemność. Koniec końcem, wszystko razem wzięte dyabła warto, ani porównywać tego nie można z jednym dobrym obiadem, ale naturalnie takim jakie tylko w Paryżu przyrządzać umieją, któryby się składał z kilkunastu potraw a ociężałości nie zostawił. Właśnie temi dniami mam pobudkę do rozmyślań nad doniosłością dobrych obiadów. Jadam teraz u moich rodziców takie straszne i dziwaczne potrawy, że Wielki tydzień długo mi zostanie w pamięci.

— Ostatecznie, jeszcześ mi nie powiedział za co jestem potępiony, — przerwał Henryk.

— Dziwię się, że cię to tak bardzo zajmuje. Ot, widzisz, trzeba było o pannę D. narobić dużo hałasu, poprobować wykradzenia, zabicia jej lub siebie, rozchorować się z rozpacz na tyfus, zapalenie mózgu lub suchoty. Byłaby taka junakierya, na wzór sensacyjnych angielskich powieści lub tuzinkowych melodramatów tłumowi się podobała i wyrósłbyś na bohatera. Jaskrawe postęпки, wywołane uczuciami o barwach oznaczonych i jednolitych, na które każdy pierwszy lepszy zdobyć się może, są zrozumiałe, i efekcik nigdy nie chybi. Ale, że ty chcesz zapomnieć i wyrzekasz się uczucia, gdyś się przekonał, że to byłoby rzucaniem pereł w błoto, że tobie nie chodzi o to, by się ożenić z panną D. a nie z kim innym, dlatego, że to jest panna D. ale żeś chciał szczęścia, a widząc, że ono formy tej przybrać nie może, nie upierasz się o nią gwałtownie byle tylko na swoim postawić, to nie każdemu przyjdzie na myśl, gdyż nie każdy trud sobie zadaje postawić się w twoim położeniu. A wiesz jaka jest konkluzja tej całej światowej paplaniny? oto, że gdyby to była panna z posagiem, to w oczach twego ojca kuzynostwo prze-

szkodaby nie było, a i tybys jej sobie tak łatwo odebrać nie pozwolił.

— Ha! ha! ha! Dość, że zawsze pieniądz jest punktem wyjścia i zakończeniem.

— A teraz, ponieważ jesteś takim uniżonym służką tego co ludzie mówią, to już nigdy z żadną bogatą panną żenić ci się nie wypada.

— Nie ma obawy, żebym się znalazł w tak trudnym położeniu. Nigdy się nie ożenię.

Przeszli całe Krakowskie-Przedmieście, wstępując do kościołów napotykanym po drodze, wychodzili od Świętego Krzyża, gdy Henryk się zapytał:

— A ciotka Hornowicz czy kwestuje w tym roku?

— Ach! Prawda! Musimy jeszcze te panie odwiedzić. Kwestuję u Świętego Aleksandra, zaraz iść możemy, to już ztąd niedaleko.

Szli Nowym-Swiatem, gawędząc o tem i o owem. Henryk się wypyttywał o konkurentów Marylki; dowiedział się, że jest bardzo wybredna i że odrzuca dobre partye, na których jej nie zbywa, gdyż jest zaliczaną do najładniejszych i najbogatszych panien z towarzystwa.

Weszli do kościoła. Grób był gustownie przybrany tylko światłem i zielonością, bez jaskrawych tonów i dekoracyi, któreby płoszyły urok z miejsca powagi i ciszy.

Pobożnych ludzi gromadka otaczała wieńcem Mękę Pańską, całując rany Chrystusa i szepejąc ciche modlitwy, z westchnieniem prośby, żalu albo skargi, z wiarą dusz prostych a wybranych, bezgranicznie ufnych i pokornych.

Pod filarem przy stoliku siedziała pani Hornowicz i Marylka. Młody człowiek wysokiego wzrostu stał obok i rozmawiał z temi paniami. Był to pan Celewski, karnawałowa pozostałość, stały Marylki adorator.

Henryk od chwili wejścia zauważył Marylkę. Zdawało mu się, że wyładniała od jego ostatniej w Warszawie bytności, twarz trochę zeszczipiała i rysy wydelikatniały czy lepiej uwydatniając i nadając całości wyraz dojrzały.

Była skromnie ubrana, w gustowny kostium angielski, bez ozdób pretensjonalnych a zwracała uwagę wykwintnością swojej postaci. Rozmawiała z Celewskim przyciszonym głosem i uprzejmie. Naraz trochę zbladła, a usta nieposłuszne zamiast się ułożyć do banalnego uśmiechu, zadrgały jakoś nerwowo i boleśnie. Henryk już był blisko, szedł do niej, myśl jej ku niemu wybiegła w chaosie wyczekiwania sprzecznego uczuć i przypuszczeń.

Jakim on jest teraz po przejściach ostatnich? Czy przynosi rozpacz, zniechęcenie do życia, niewiarę w przyszłość i ludzi? A może zobojętniał na wszystko i z bezinteresownej oznaki serca śmiać się będzie? Biedny, jakże nieszczęśliwy! Czyż nie powinno być jej usiłowaniem i celem smutek jego podzielić, popłakać trochę nad zawodem, dobrem słowem pociechy ukoić rany jeszcze zaognione i krwawiące?

Ale choć się chciała przejąć zmartwieniem Henryka, choć sobie powtarzała, że jego nieszczęście powinno i ją dotykać boleśnie, jednak mimowoli gdzieś w głębi serca, jeszcze nieświadomie i trwożliwie dusza nuciła zaczynała szczęśliwą pieśń nadziei. Czyż na ruinach dawnych uczuć nie mogą wyrosnąć inne? Czyż ręka usuwająca gruz przykrych wspomnień nie może na ich miejsce założyć nowych fundamentów i wybudować gmach stokroć piękniejszy od pierwszego? Wszystko być może... z roskoszy rodzi się rozpacz i ból... a przez cierpienia i kolce prowadzi droga do szczęścia...

— A! Henryk nie wiedziałysmy, że jesteś w Warszawie!

Po ogólnem przywitaniu była chwila ciszy, czekano odezwania się Henryka, by do jego usposobienia nastroić dalszy ciąg rozmowy.

Henryk pytał panią Hornowicz ze swobodą i naturalnie o wypadki z życia codziennego, o zdrowie tych pań i plany, a gdy rozmowa zdawała się go bliżej okrażać i schodzić na grunt jego, osobisty, zręcznie zmieniał przedmiot nie wspominając nic o sobie i Lubranicach.

Marylka mu się uważnie przypatrywała, przeczuła smutek, odgadła myśli i wrażenia.

„Biedny, pomyślała sobie, chce zapomnieć, ode-rwać się od wspomnień i ogłuszyć, ale niepewny

jeszcze swoich uczuć, boi się dotknąć przeszłości, niepewny jakichby mu wrażeń dostarczyła.

Wszyscy półgłosem rozmawiali. Marylka najczęściej do Henryka się zwracała, mówiła mu o rzeczach zwyczajnych, banalnych, o których rozmawiała z tysiącem innych młodych ludzi, a jednak w dźwięk wyrazów kładła odcienia ciepłe i serdeczne, pełne życzliwości i uczucia, w uprzejmych pytaniach była troska o jego smutek, w uśmiechach całe niebo słodyczy i otuchy. Wiedziała instynktem, że rany serca tylko sercem leczyć można, że z przygnębionego umysłu połowę ciężaru się zdejmie gdy się smutek rozumie, dzieli i odczuwa.

— Nieprawdaz, będziesz do nas często przychodził—rzekła z dobrocią, gdy tamci panowie rozmawiali z jej matką—bądźmy gawędzili tak jak dawniej.

— O czym?—rzekł ze zniechęceniem, a w głosie odbiły się te wszystkie uczucia, których innym pokazać nie chciał.

— O czym? O tobie najpierw, mój drogi, a potem... o wszystkim co godne uwagi piękne i dobre. Tyle jest na świecie pięknych rzeczy, o których mówić warto, a i pięknych uczuć także tak wiele...

Henryk się uśmiechnął ironicznie.

— Ale daleko więcej jest tych niepięknych—rzekł.

— Nie chce mi się jakoś w to wierzyć. To byłoby smutne i niezachęcające do życia. Ale widzisz, mnie się zdaje, że jeżeli cierpimy z powodu takich brzydkich ciemnych uczuć to jesteśmy tak uderzeni na razie ich czarnością i brzydotą, że ich wpływowi poddajemy się całkowicie i jak przez szkła czarne tak przez te uczucia patrzymy na resztę świata.

— Nie zawsze się nawet patrzy, jeżeli się wie, że nie zobaczy się nic ciekawego. A jeżeli silne wrażenia potęgują uczucia, a wzrok myli, to najlepiej wyrobić sobie zdanie o ludziach według faktów, które można oznaczyć ściśle i bezstronnie. Te nie zawiodą.

Marylka nie miała w zapasie argumentów logicznych do zbijania rozumowań Henryka, nie wiedziała jak prostować jego czarny chwilowy pogląd na życie; miała tylko bezgraniczne współczucie i miłość, serdeczne słowa pociechy i uśmiechy przez długi. Nie starała się go przekonywać, mówiła tylko, że rozumie jego zawód i rozczerowanie, że odczuła i uprzytomniła sobie wszystkie odcienia wrażeń przez jakie musiał przechodzić, i że... świat jest taki wielki i piękny, że jedno spalone serce nie powinno nawet wchodzić w rachubę.

Mówiła półgłosem i spokojnie, wśród ciszy kościoła i westchnień pobożnych, z pocziwym wyrazem oczów, które dopowiadały, to, co usta określały nieumiejętnie i nieśmiało.

Henryk rzadko jej przerwał, dobrze mu jakoś było przy niej, w atmosferze uspokojenia i pogody, która zdawała się otaczać całą jej postać, harmonijną w kształtach i ruchach, tętnącą serdecznością i dobrocią.

I kościół cały był także uspokojeniem i ciszą. Wśród szarych kolumn i ścian o liniach nieskomplikowanych i spokojnych, zakutych w kamień i niezmiennych, snuł się nieśmiało delikatny szmer kroków ostrożnych i szeptanej modlitwy jak echo zdala przybyłe, zamierające na progu przybytku skupienia i rozmyślań.

Płomyki świec nieruchomie ku górze się wydłubały, niezachwiane żadnym obcym podmuchem ze świata zewnętrznego. Grób nasuwał myśli o śmierci i zapomnieniu, pogrzebaniu w przeszłości uczucia nieszczęśliwego i chybionego, które nawet wspomnieniem zmartwychpowstać nie powinno.

„Jakie to pocziwe stworzenie ta Marylka—myślał Henryk. W każdym słowie widoczne dobre serce. Onaby tak jak tamta postąpić nie umiała. Czemu tamta nie ma jej serca?”

Ktoś na tacy datek położył. Marylka musiała się odwrócić i podziękować uprzejmie. Równocześnie Gogo dał znak Henrykowi, że odejśćby już wypadało, rozmowa ich we dwoje skończyć się musiała, obydwaj panowie skłonili się i ku drzwiom skierowali.

Celewski został, przybierał postawę mającego więcej praw niż inni. Wywarło to niemiłe wrażenie na Henryku. Byłby z przyjemnością wrócił się

od drzwi, usiadł napowrót przy Marylce, by przetrzymać tamtego i zmusić by odszedł pierwszy.

Odhodził niezadowolony z siebie, Celewskiego i Marylki powtarzając sobie w myśli, że Celewski niewart jest jej, że to jest dzika i śmiała z jego strony pretensja starać się o jej rękę.

*

*

W pierwsze święto na święconem zebrało się u pani Hornowicz zaledwie kilka osób między innymi i Henryk Lubraniecki.

Przykładnie według formy życzo no sobie wielu rzeczy bardzo pięknych, mówiono o uczuciach i życzliwości, całowano się w miarę, a trochę myślano inaczej niż mówiły usta.

Byli wszyscy *en famille*, można było rozmawiać otwarcie o przedmiocie, który w danej chwili na myśli wszyscy mieli, uwaga ogólna zatrzymała się na Henryku Lubranieckim. Litowano się nad nim i ubolewano, a przytem winszowano, że go los uchronił od małżeństwa z Jadwiną. Henryk był niezadowolony, że przedmiot ten poruszano, dawał wymijające odpowiedzi, otwarcie i szczerze rozmawiał tylko z Marylką.

— Sam nie wiem czego ci życzyć — rzekł, gdy przyszło na nich kolej jajkiem się podzielić. — Wszystkie życzenia są frazesami, a my przecież jesteśmy na tej stopie, że frazesów między nami być nie powinno. Z resztą, czyż życzenia sprawdzają się kiedykolwiek?

— Niezawsze, to prawda; ale można mieć chęci jaknajlepsze, a już sama chęć i dążenie zbliżać nas może do osiągnięcia celu naszych marzeń. Ja przeciwnie, życzę ci tak wiele rzeczy dobrych i szczególnie, tak wiele, że nawet nie wiem od czego zacząć bo wszystko mi się wydaje najważniejsze.

— Nie wymieniam, moja droga, rozumiem twoje serce tak dobre i pocziwe, jakiegom jeszcze nie spotkał u nikogo.

Marylka nie nie odpowiedziała, chciałoby jej się płakać, uciec w jakiś kąt ciemny i samotny, lub uścisnąć Henryka długo i serdecznie by zapomniał w tym uścisku o przeszłości i jej smutkach.

— Al! Znalazłem życzenie—rzekł Henryk gdy wszyscy do święconego zasiedli, a oni, jak zwykle, znaleźli się obok siebie. — Mam życzenie, które przy dobrych chęciach można osiągnąć. Życzę ci, żebyś się nigdy nie zakochała.

Blady uśmiech przeszedł przez usta Marylki.

— To także uczucie bez sensu i niedające szczęścia! A składa się z ciągłego oszukiwania siebie i drugich, z ciągłego szukania po ciemku czegoś nieokreślonego i bez nazwy, to rozczerowania i niespodzianki, nieosiągnięte żądania, same przykre wrażenia, które gwałtem przyjemnemi nazywać się upieramy. Ale może to tylko ja jeden tak myślę, może dlatego, że miałem wielkie wymagania. Powiedz mi, czego tybyś żądała od tego, którego kochasz lub kochać będziesz?

— Czego bym żądała? Nigdy o tem nie myślałam. Hm... chyba tego tylko, żeby mi się kochać pozwolił.

— I nie więcej? A dla siebie samej?

— Dla siebie? Nie. Ja myślę, że jak się kocha prawdziwie to się nie nie wymaga. Wystarczyłby mi jeden uśmiech zadowolenia i szczęścia.

— O! W takim razie żadasz wiele, bardzo wiele. O szczery uśmiech bardzo jest trudno, potrzeba do tego uczucia serdecznego, którego wyrazem byłby ten uśmiech właśnie; a choć ludzie głośno twierdzą, że uczucia są mało warte, jednak są na nie najbardziej skąpi. Łatwiej niejednym rozrzucić góry złota niż wydobyć z serca jeden atom uczucia szczerzego i prawdziwego i ofiarować je komuś bezinteresownie, bez egoistycznych widoków i wyrachowań.

Marylka nie miała ochoty przedłużać tej rozmowy. Nie zdając sobie sprawy czuła instynktownie, że rozpamiętywanie uczuć, które są źródłem naszej przykrości, pociemnia tylko ich barwy, wrażenia widziane zdala wyobrażenia potęguje, i zadrastniecie chociażby najłżejsze, jeżeli dotykane i badane w swoim wnętrzu, zaognia się tylko, a nie goi.

— Podobno wyjeżdżasz zagranicę — rzekła by odwrócić jego myśli.

— Tak, choć dokąd, to jeszcze nie wiem, ale prawdopodobnie nigdzie miejsca długo nie zagrzeje.

— Czy myślisz, że ci taka włóczęga sprawi przyjemność? Czyż cię będą zajmowały miejsca widziane pewno już nieraz? i obcy ludzie, z którymi cię nie nie wiąże? Zostanę z nami lepiej. Czyż ci nie przyjemniej być pomiędzy swoimi i życzliwymi niż tam gdzieś po świecie wałęsać się bez celu?

Henryk nie na razie nie odpowiedział, patrzył z uśmiechem na Marylkę. Przyszło mu na myśl, że jest bardzo dobra i miła, że może byłoby mu czasem za nią tęskno i... obiecał, że w Warszawie zostanie jak najdłużej.

Odtąd tryb życia Henryka nie różnił się niczem od pierwszych dni jego w mieście pobytu. W ciągu dnia wywiązywał się z towarzyskich obowiązków, chodził na odczyty, które dość częste bywały w tej porze, na obiad szedł do klubu, a wieczory spędzał u pani Hornowicz.

Oswajano się potrochu z „kwestią Lubranieckich,” Henryk o małżeństwie swego ojca mówił z coraz większą otwartością i swobodą, coraz mniejsze wrażenie wspomnienie to na nim wywarło, czas je oddalał i zacierał ostre barwy, dostarczał nowych, które poprzednie usuwały i zakrywały, przykuwały nowym urokiem, garść chwil przyjemnych dając na razie, przyjmowanych może bez zapału i z niedowierzaniem ale też i bez goryczy i zniechęcenia.

Dnie składały się w tygodnie i mijały. Henryk z Lubranieców nie miał żadnej wiadomości, Lubraniecki zajęty był swoim szczęściem, nie troszczył się o syna.

Maj minął, chłodny i ponury, jak zwykle maj, zadający kłam tradycji, która mu każe gwałtem sypać tylko ciepłymi promieniami słońca, powodzią kwiatów i zapachu. W pierwszej połowie czerwca Henryk otrzymał list z Lubranieców. Pisał mu ojciec, że ślub jego odbędzie się w tymże miesiącu, i że jego jest życzeniem aby Henryk i najbliższa rodzina obecni byli tej uroczystości, gdyż w ważnych chwilach życia tak radosnych jak i smutnych przyjemnie jest i miło mieć swoich obok siebie.

List ten silnie na nim wywarł wrażenie; zrujnował delikatną jeszcze tkankę uspokojenia, która dopiero bardzo nieznacznie zasłaniała umysł Henryka. Przywołał go do wspomnień, które dotąd, o ile mógł oddalał od siebie siłą woli do wspomnień przykrych i bolesnych, pod dotknięciem ich fali drgnęły niepokojem wszystkie nerwy, krew przyspieszonym tętnem biła w skronie, a z dalekich głębin serca i myśli wyjrzała tęsknota za uczuciem, którego echa odzywały się jeszcze ze wszystkich zakątków jego duszy i wspomnień. I miał znowu przed oczami postać Jadwini, tę dawną uśmiechniętą, prześliczną i dobrą, czy też tylko dobroć udającą, ale mniejsza o to, tylko czarującą każdym swoim rysem, ruchem i wejrzeniem. Myśli bezładne i sprzeczne w umyśle wirowały, ocean uczuć różnorodnych szarpał nerwami, pobudzał je do coraz większej wrażliwości, był żal za przeszłością, za uczuciem takim pięknym, a zdeptanym, a zawiśniętym, ironii i goryczy pono najwięcej.

Chodził po pokoju nie zdając sobie sprawy z ubiegającego czasu, dopiero gdy zapadła ciemność, przypomniał sobie, że trzeba z krainy myśli wrócić do zwykłych, codziennych warunków życia. Jednak tego wieczoru nie poszedł do pani Hornowicz. Ta pocziwa Marylka, myślał sobie, zmartwi się, gdy go znów zobaczy wzbudzonym dawnymi wspomnieniami, a ona taka dobra, tak pragnie gorąco widzieć go uspokojonym i szczęśliwym! Wspomnienie Marylki złagodziło jego myśli, zdawało się rozjaśniać ciemne ich barwy, przynosić trochę światła i otuchy. Ogarnęło go rozręczenie bolesne, a jednak kojące, jak łyż, w których się uśmierza ból gwałtowność, w których się rozplywa sztuczne napięcie i zakamienialość pierwszej chwili cierpienia.

Ślub miał się odbyć w Warszawie, a termin już był naznaczony za dwa tygodnie. Henryk był ciągle podniecony, nie mógł powrócić do tej równowagi, jaką już przedtem osiągnął trochę z własnej woli a trochę pod wpływem Marylki.

Myśl ujrzenia Jadwini wywoływała w nim najsprzeczniejsze uczucia. Nareszcie jednego dnia

otrzymał depeszę, że ojciec jego, Jadwinia, pani Zeneida i Szańska przybywają do Warszawy.

Pojechał na dworzec kolei, ażeby formom nie uchybić. Dziwił się, że jest spokojniejszym niż się spodziewał, że oprócz ciekawości i oczekiwania nie doznaje innych wrażeń. Gdy przyszła rzeczywistość i stanęła tuż obok niego, zamieniła na fakt zwyczajny to, co mu się w pierwszej chwili wydawało ogromnem, niebywałem i niepojętem, przyszła w ślad za tem i równowaga i zimnej krwi trochę i silne postanowienie, że już raz trzeba zakończyć z przeszłością i nie poddawać się jej wspomnieniom.

Jednak gdy zobaczył z daleka dwa światła lokomotywy, za którymi sunął długi czarny ogon, pętał szybko i rósł z sapaniem coraz głośniejszem, serce mu prędeję bić zaczęło i zdawało mu się, że gdy się zbliży ten czarny zygzak, stanie się coś nadzwyczajnego, wybuchnie jakaś katastrofa obfita w skutki, która wstrząśnie i nim i całym otoczeniem.

Nie stało się nic nadzwyczajnego, pociąg się zatrzymał, nikt na niego uwagi nie zwrócił, zobaczył twarze uśmiechnięte i spokojne, Jadwinie uprzejmą, jak zwykle panią siebie, nie zdradzającą w niczem swoich myśli. Po dorywczym przywitaniu pani Zeneida i Jadwinia siadły do powozu i odjechały do hotelu, Lubraniecki z synem i córką udał się do swego pałacyku w Aleje Ujazdowskie. Mileżano przez drogę, Lubraniecki czuł jakieś zakłopotanie wobec syna, Szańska nie miała do powiedzenia, Henryk wolał swoje myśli niż rozmowę.

Zastanawiał się nad wrażeniami jakich doznał przy spotkaniu z Jadwinia, i doszedł do tego wniosku, że nie były takie jakich się spodziewał, nie tak głębokie i przykre. Jadwinia mu się wydała jakąś osobą obcą, obojętną, z którą go nigdy nie nie wiązało, od chwili, gdy ją zobaczył był ciągle spokojny i pewny siebie. Czyżby go już opuściło dawne uczucie? Czyżby to już tylko wspomnienie wrażeń przebytych niepokoiło jego nerwy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGŁĄD PIŚMIENNICZY.

Z nauki języka.

Wiemy dobrze, jak ważnym czynnikiem przy nauce języka są ćwiczenia, które nietylko uczą myśleć logicznie, myśli wogóle zwięźle i jasno wypowiadać, ale niezmiernie urozmaicają pracę, tembardziej, że uczniowie zwykle z wielką ochotą przystępują do samodzielnego wypowiedzania swych myśli.

To też z prawdziwą radością witamy podręcznik znanych z sumiennej pracy autorek p. t. *Ćwiczenia stylistyczne we wzorach i tematach*, ułożone systematycznie przez C. Bogucką, C. Niewiadomską i J. Warnkównę. Dziełko to, przeznaczone dla nauczycieli, zawiera w dwóch tomach, podzielonych na pięć części, obfity i urozmaicony materiał do ćwiczeń. Znajdujemy tu tematy od najłatwiejszych, przystępnych dla dzieci, zaczynających naukę języka, do coraz trudniejszych rozpraw samodzielných, wymagających głębszych wiadomości i rozwiniętej inteligencji. W trzech pierwszych częściach podane są plany opisów różnej treści, porównań, powiastek do streszczenia, legend, opowiadań z rozmaitych gałęzi wiedzy, wierszy do przerobienia na prozę, oraz listów; w dwóch ostatnich, oprócz powyższych rodzajów ćwiczeń są rozprawki naukowe i moralne, życiorysy, rozbiory prac literackich i charakterystyki ich bohaterów. Tu i ówdzie podane są całkowite wzory ćwiczeń, najczęściej jednak plany szczegółowe lub ogólne, wreszcie same tylko tytuły tematów. Wszystkie powiastki, legendy, opowiadania, opisy, z wyjątkiem kilku, które są prawdziwą niespodzianką w tej pracy, pod względem treści i zewnętrznej formy zupełnie odpowiadają swemu celowi; znaleźć też wśród nich można prawdziwe perełki stylu, np. *Obraz Konopnickiej*, *Cienie Prusa* i t. d.

Nowy ten podręcznik posiada tak wiele zalet, że wobec nich nikną drobne usterki, jakie tu spotykamy. Do nich należą np. niezbyt szczęśliwie wybrane przedmioty do porównania, jak laska i zapadka lub wół i mysz.

W rozprawce: *O potrzebie pracy* powiedziano we wstępie: „Człowiek rodzi się z potrzebami, musi więc pracować.“ Stąd wypada, że ludzie bogaci mogą nie pracować, bo ich wszelkie potrzeby są zaspokojone. A przecież im kto bogatszy, tem więcej ma obowiązków względem społeczeństwa i powinien pracować dla dobra ogółu, jeśli chce zasłużyć na szacunek ogólny. Pracujemy nietylko z tą myślą, by praca dała nam utrzymanie, ale by była rzetelną, uczciwą, przyniosła pożytek społeczeństwu, a o tem w całej rozprawce niema wzmianki.

W czwartej części umieszczono wzór porównania p. t. *Rolnik i rzemieślnik*, w którego zakończeniu zwracają autorki uwagę na różność charakterów i pojęć, wynikających jakoby z odrębnego sposobu życia: „Uczenie rzemieślnika zamyka się w ciasnym obrębie rodziny, a myśl zwrócona w kierunku powiększenia zbyt szczupłych dochodów.“ Sądzę, że takie scharakteryzowanie rzemieślników może wytworzyć w uczniach fałszywe o nich pojęcie: w każdym zawodzie znajdziemy egoistów, nie wpływa to wszakże na przyczyny oddawania się tej lub innej pracy. „Długoletnia i jednostajna praca—czytamy dalej—wyrabia w rzemieślniku cierpliwość i wytrwałość.“ Te przymioty można również przypisać rolnikowi, który pomimo ciężkich strat materialnych rąk nie opuszcza, ale odmawiając sobie wszystkiego, w pocie czoła uprawia rodzinną glebę.

Prócz tego w rozbiore literackim *Księżniczki Urbanowskiej* we wstępie znajdujemy tendencję powieści, gdy właściwiejby było umieścić ją w zakończeniu. Pomimo tych małych niedokładności, dziełko to, będąc prawdziwą pomocą uczącym przy wykładzie języka, zasługuje na najszerze rozpoznanie.

Drugą, w tym samym kierunku napisaną pracę jest: *Zbiorek powiastek, wierszyków, opowiadań i ćwiczeń dla dzieci od lat 7-miu do 9-ciu*, ułożony S. Sempołowską i J. Unsichtównę.

Książka ta może być z prawdziwą korzyścią zastosowana zaraz po elementarzu, zawiera bowiem wierszyki i powiastki, mogące służyć za temat do pogadań etycznych, przyrodniczych i historycznych. Pod każdą powiastką podane są wzory ćwiczeń stylistycznych i gramatycznych, dających poznać dzieciom stopniowo części zdania i trzy części mowy odmienne oraz ich najgłówniejsze odmiany. We wstępie zastrzegają autorki, aby terminów stanowczo unikać, atoli sądzimy, że skoro dziecko po kilku wstępnych lekcjach potrafi doskonale odróżnić rzeczownik, podmiot, czy też inną część mowy lub zdania, to chyba nie obciążymy zaudito jego pamięci, gdy mu powiemy, jak te wyrazy nazywać. Tę chyba jedyną uwagę możnaby tu uczynić, przynajmniej, iż książeczka ta pod każdym zresztą względem czyni zadość wymaganiom pedagogicznym.

R. Szumowska.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów, w Grudniu.

Dwudziestopięcio-lecie istnienia seminarjów nauczycielskich w Galicyi. Jakkolwiek rzecz to dotycząca ogółu nauczycielstwa, lwi udział w obchodzie jubileuszu przypadł kobietom. „Związek koleżeński byłych seminarzystek“—pod przewodnictwem p. Machczyńskiej inicjował zjazd cały i obchody. Rozpoczęty nabożeństwem zjazd naznaczył zebrania swe w sali ratuszowej, gdzie odbywały się obrady, przemówienia, gdzie witano się szczerze i serdecznie po wielu latach niewidzenia.

Z pośród referatów uczestniczek zjazdu wyszczególnić należy przedewszystkiem referat p. Machczyńskiej o konieczności pomnożenia liczby seminarjów nauczycielskich żeńskich w Galicyi; na skutek referatu uchwalili zjazd petycję tejże treści do Rady szkolnej krajowej a prezydium zjazdu podpisało petycję i zajęło się jej odesłaniem. Jest to sprawa niezmiernie doniosłości, gdy się zważy, iż obecnie we Lwowie założono prywatne seminarjum w obec potrójnej liczby zgłaszających się kandydatek, z których tylko trzecia część przyjęta być mogła. Zawód nauczycielski jest dotychczas niestety prawie jedynym zawodem pracy umysłowej dla kobiet. Stąd także hyperprodukcya nauczycielek, stąd niebawem fakt, jaki miał u nas miejsce, a mianowicie usunięcie zupełne ze szkół praktykantek dwu-trzy-cztero-letniej przy szkołach pracy. Wydawałoby się mogło, że posiadamy więcej nauczycielek niż szkół? Ale gdzież tam! Kilkaset szkół zamkniętych jest dla braku nauczycielstwa. Kobiety jednakże, zwłaszcza bardzo młode, nie zawsze decydują się na zakopanie się w głębokiej, zapadłej jakiejs wsi, gdzie lud jest jeszcze szkole nieprzyjazny, gmina płacić nie chce pensji nauczycielstwu a władze nie wiele się troszczą o ulżenie losu tym parjasom apostołskiej pracy niesione światła. Woli tedy wiele z nauczycielek, młodych zwłaszcza ograniczyć się na prywatnych lekcjach a pozostać w mieście aniżeli iść na posady, które należą do najgorszych. — Ale o tej sprawie możnaby pisać na sążnie — a naszem zadaniem w tej chwili dać tylko pobieżny, krótki szkic ruchu kobiecego, coraz to silniej przejawiającego się w Galicyi, do niedawna pod tym względem wielce zacofanej. — Otóż wracając do zjazdu, drugim, wielkiej doniosłości był referat p. Grotowej; „o ogródkach trojeblowskich“. Sprawa to bardziej aktualna, niżby się może na pozór zdawało. Rzecz ma się tak: co rok kończy kilkadziesiąt kandydatek kurs froeblovski, lecz każda musi sobie szukać albo prywatnej posady (które nie są zbyt liczne) albo zostawać pomocnicą w innym już istniejącym ogródku. Sama nie może kierować ni zakładać ogródka, gdyż do tego potrzeba jej świadectwa dojrzałości z ukończonych kursów seminarjum. Jest to najrzetelniejszy paradoks, boć przecie rozumie się *eo ipso*, że która ma świadectwo dojrzałości, woli zostać nauczycielką niż froeblovką. Po rozważeniu zatem całej tej sprawy wedle wyczerpującego przedłożenia referentki, powziął zjazd rezolucję o wniesieniu dwóch petycji do rady szkolnej krajowej, by wyjednała u ministerium oświaty: a) pozwolenie dla ukończonych froeblojek samodzielnego zakładania i prowadzenia ogródków froeblovskich, b) jak również by froeblovki mogły otrzymywać posady nauczycielek wiejskich. Ma być jeszcze wniesiona trzecia petycja o założenie przy każdej wiejskiej szkole ogródka froeblovskiego. Obok tych uutilitarnych stron zjazdu, musimy też wymienić i liryczne strony, jakimi były setne wspomnienia: smutne i wesołe, rozpatrzenie szeregów, w których ząb czasu niejedną uczynił szczerbą—poświęcenie tym, którzy odeszli w pokoju — słów pamięci i uznania ich pracy i ofiar. Raut urządzony w salach kasyna miejskiego zbliżył i zapoznał z sobą nauczycielki prowincjonalne z lwowskimi, nawiązała się tu niejedna nie serdeczna i oby długotrwała.

Zakończenie zjazdu stanowiło przedstawienie „Sprzedanej narzeczonej“—Fr. Smetany.

Jakkolwiek jestem z całym uznaniem dla wartości muzycznej tej czeskiej opery, którą nawet jeden z naszych muzyków stawia wyżej od „Halki“ Moniuszki (pod względem muzycznej jednolitości) to wszakże dziwi mię, że zjazd nie zażądał na jubileuszowe przedstawienie jakiejs rdzennie swojskiej sztuki; przypuszczam, że pierwszeństwo dostało się Smetanie—jedynie dlatego, iż jego opera komiczna jest u nas i gdzieindziej, obecnie *en-vogue*. A może i nie jedynie dlatego?! Wszak dyrekcji obecnie tak trudno wystawiać sztuki poważniejszej treści z przyczyny niekompletnego personelu. To zprovincializowanie sceny stołecznej—wszystkim już kością w gardle stanęło—prawdopodobnie nawet samej dyrekcji ale przepadło! kontrakty po miastach prowincjonalnych, między którymi w tym względzie prym trzyma gród Przemysława—zawarte zatem smutna historia wypadku... zatytułowa-

nego: „słowo się rzekło“, powtarza się i dopełniać się będzie jeszcze pół roku!

Ale co się stanie przez ten czas ze sceną polską? Dyrekcyja obecna ma monogram: B. H—to B. kocha pieniądze, zaś H—sztukę. Sądźmy, że na szalach losu skarbkowskiej sceny zaważy to H, które kocha naprawdę sztukę i pojmuje jej znaczenie cywilizacyjne i społeczne. Nie odstępujemy jednak od rzeczy. W ruchu kobiecym, zwłaszcza we Lwowie, punktem ciężkości i osią nawet stała się Marya Konopnicka, o którą się kłóci galicyjski obóz zachowawczy z postępowym.

Na zakończenie zaś parę radosnych nowin podajemy czytelnikom—w kwestyi kobiecej. Oto na wzór akademii Humboldta w Berlinie rozpocznie się w połowie stycznia u nas szereg uniwersyteckich wykładów dla kobiet. Repertuar prelekcji już ułożony, chodzi tylko o zatwierdzenie ze strony władz rządowych. Kobiety tylko wzdychają, by nie obrać godzin przedpołudniowych, bo to utrudniłoby im korzystanie z wykładów;—a zastępy chciwych wiedzy mnożą się z każdym dniem. Dalej kursa wyższego kształcenia dla kobiet im. Baranieckiego w Krakowie podnoszą się i rozwijają pomyślnie, tożsamo możemy powiedzieć o założonym tamże świeżo gimnazjum żeńskim. Nakoniec i ta pożądana nowina, że się spodziewają powszechnie, na podstawie słów ministra oświaty, że najdalej za rok rząd otworzy podwoje uniwersytetów także i kobietom, na wszystkich fakultetach. We Lwowie mamy pierwszą na tej ziemi dentystkę—jest nią niejaka pani Szeffer. Atelier jej na razie jeszcze nie cieszy się popularnością—a może dlatego, że mało kto o niej wie, nie używa bowiem reklamy. Obok zaś tych nowości, nie zapomina się i o utylitarnej stronie dążeń kobiecych. Szkoła gospodarstwa w Kuźnicach koło Zakopanego—już dziś nie starczy—i coraz to silniej domagają się u nas pomnożenia szkół gospodarstwa. Może nareszcie jasne promienie pragnień ogólnego dobra rozproszą uprzedzenia. Oby już rychło!

Janina S. Aleksota.

Z bieżącej chwili.

— Ministerium rolnictwa żąda na r. 1897 kredytu w wysokości rs. 100,000 na rozwój i podtrzymanie drobnego przemysłu. Prócz tego ministerium przedstawiło program swej działalności na przyszłość dla podtrzymania drobnego przemysłu.

— Towarzystwo rozwoju wiadomości handlowych w Petersburgu poruszyło kwestję przyjęcia organizujących się kursów buchalterji pod zarząd ministerium skarbu.

— Według doniesienia dzienników petersburskich, projekt ustawy normalnej dla spółek rzemieślniczych został już wykonany w departamencie handlu i rzemiosł.

— Na ręce M. Gawalewicza, hr. Michał Tyszkiewicz złożył rs. 300 na rzecz wykształcenia młodego rzeźbiarza Bolesława Biegasa.

— Doszła nas wiadomość z Paryża, iż tam w dniu 1 b. m. zmarł ś. p. Stefan Szolc-Rogosiński, znany podróżnik, urodzony w Kaliszu w r. 1860. Po umarłym pozostała wdowa, znana zaszczytnie autorka i poetka Hajota.

— W Tours ukazać się ma najdroższa w świecie książka, która kosztować będzie 4,500 fr. Dotąd zebrano około 3 milionów franków abonamentu. Książka będzie unikatem w swoim rodzaju i arey-

dzielem sztuki typograficznej, książka zamknie w sobie Żywot Pana Jezusa z heliogravurami, będącymi reprodukcją przepysznych kilkuset akwarel James Tissota.

— W Paryżu zorganizowało się polskie towarzystwo artystyczno-literackie; pierwsze zebranie członków odbyło się w d. 1 grudnia pod przewodnictwem d-ra K. M. Górskiego. Celem towarzystwa będzie wszechstronne popieranie pracy zawodowej artystów i literatów polskich w Paryżu oraz zaznajamianie zagranicę ze sztuką i literaturą polską.

— Amatorowie w Kaliszu mają na cel dobroczynny odegrać komedję Fredry „Damy i huzary.“ — W d. 29 listopada straż ogniowa ochotnicza w Kaliszu obchodziła 34-tą rocznicę swego istnienia. Podczas uroczystego obchodu tej rocznicy zgromadzeni członkowie uczcili pamięć założyciela straży, ś. p. Roberta Puscha, powstawszy z miejsc swoich, orkiestra zaś strażacka odegrała żałobną modlitwę.

— Na prezesa Akademii Umiejętności w Krakowie wybrany został ponownie prof. Stanisław hr. Tarnowski na lat trzy, na sekretarza jeneralnego prof. Stanisława Smolka na lat sześć.

— W Londynie wyszły pamiętniki rozgłosnej przed kilku laty aktorki, Maryi Anderson, która w r. 1890, przeszedłszy na katolicyzm, opuściła scenę w czasie najświetniejszych tryumfów swoich i wyszła za mąż za p. de Navarro. Pamiętniki wspominają, że Anderson drżała na myśl o późnej starości, „nieudolnej do odczuwania prawd i ideałów życiowych“, a oplakującej zanik sił umysłowych,—i to był powód, dla którego artystka porzuciła scenę, ponieważ uważała ją za najbardziej niszczącą zdrowie.

— We Włoszech zmarła jedna z najwybitniejszych literatek włoskich, Ewelina z domu Cattermole, z męża Manzini, znana pod pseudonimem Contessa Lora. Słynną autorkę zamordował kochałek jej, malarz nazwiskiem Józef Pierantoni.

— We Lwowie powstała szkoła deklamacyi, którą założył jeden z utalentowanych artystów teatru hr. Skarbka, p. Chmieliński.

— W Płudach pobudowano kilka domów z cegły piskowej. Domy takie budują w Danii, Szwecyi i w innych krajach. U nas przed laty trzydziestu dużo w tej sprawie mówił i pisał profesor b. szkoły sztuk pięknych, ś. p. Martin; miewał on w Marymoncie wykłady o budowlach z piasku. Przed laty 20 inżynier Chrzanowski wydał broszurę, p. t. „O budowie domów z piasku i wapna.“ Budowniczy Marconi wspomina o takich budowlach w „Architekturze wiejskiej.“ Jeżeli dotąd nie budowano u nas domów z materiałów wspomnianych, pisze p. Koleżak, to tylko dlatego, iż ceny cegły

i drzewa były bardzo niskie,—a dziś ceny te poszły bardzo w górę, więc się zwrócono do piasku.

— Mowy Juliana Dunajewskiego, wygłoszone przezeń w sejmie krajowym galicyjskim oraz w radzie państwa, wyszły nakładem spółki wydawniczej krakowskiej w przekładzie d-r. W. L. Jaworskiego, docenta uniwersytetu Jagiellońskiego. Bardzo dobrą przedmową napisał d-r Piotr Górski, poseł na sejm krajowy.

— W d. 14 b. m. grono wielbicieli talentu Adama Asnyka (El...y'ego) obchodzić będzie jubileusz 30 letniej pracy na niwie piśmienniczej znakomitego poety.

NOWE KSIĄŻKI.

Junosza Klemens. Na bruku. Powieść z życia miejskiego. Warszawa, 1897. 1 —

Kalendarz rolniczy na rok 1897, wydany staraniem Antoniego Strzeleckiego. Wydawnictwa rok XXVII. Warszawa, 1896. 1 —

Kluczycki Stanisław. Świat napowietrzny. Dwanaście pogadanek. Kraków, 1896. 1 50

Krasuska Wanda. Zbiorek poezji. Warszawa, 1896. 1 —

Królikowski Stanisław. Hygiena weterynaryjna czyli nauka utrzymania zdrowia zwierząt gospodarskich. Z 104 rycinami w tekście. Lwów, 1897. 3 60

Łoś hr. Wincenty. Panna Staryńska. Powieść współczesna. Lwów i Warszawa, 1897. 2 —

— **Ze Starzów Pani Appelstein.** Powieść współczesna w 2 tomach. Warszawa, 1897. 3 —

Łotoc Ludwik. Wspomnienia z Meksyku. Opowiadanie legionisty. 2 t. Warszawa, 1896. 2 40

Milkuszczyk Marya. Dziadowie i wnuki. Powieść współczesna. Warszawa, 1896. 1 35

Or Ot. Podróż dzieci balonem. 14 tablic obrazków kolorowanych, opisanych wierszem. Wydanie drugie. Warszawa. 1 —

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: ark. 1 powieści p. t. **Siostry.** Przełożyła Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszczy“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Książki gwiazdkowe, przez Szczęsną. — Pogawędka, przez ?? — Sonet, przez Szczęsną. — Lubrańce, powieść, przez Znicza (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, przez R. Szumowską. — Korrespondencya zagraniczna — Z bieżącej chwili — Nowe książki.

Dodatek obejmujący: Siostry, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 1. — Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.